№ 18. Wilno, dnia 24 Maja 1925 r. Rok I



TYGODNIK DLA DZIECI I MŁODZIEŻY.

Z dziecinnych lat Elizy Orzeszkowej

w piętnastą rocznicę śmierci.

(Dokończenie)

O jednej swej wielkiej radości, tak opowiadała sama Orzeszkowa.

„Pamiętam, było to w dzień Nowego Roku. Byłyśmy bardzo wesołe, bo ubrano nas w nowe sukienki różowe i przeciw zwyczajowi od zwierciadła nie odpędzano, gdyśmy przed niem przez dobry kwadrans wykręcały się i skakały jak frygi. Przed południem, wraz z matką naszą siedziałyśmy przy śniadaniu, gdy nagle widelce z rąk nam wypadły, okrzyki zachwytu z ust się wyrwały i zerwałyśmy się z krzeseł, biegnąc ku drzwiom na kształt ptaków lecących ku słońcu. We drzwiach stanął nasz ojczym i śmiejąc się wzniósł nieco w górę sporej wielkości cukrowy wazon auryklji. Wazon był z czekolady, a kwiaty i liście z zabarwionego cukru, ale tak kunsztownie wyko-

nane, że wtedy przynajmniej przysiądz mogłyśmy na najpiękniejszą naszą lalkę, albo najulubieńszą książkę, że aurykle były prawdziwe, żywe, tylko co rozkwitłe. Ojczym nasz postawił na stole to śliczne cacko mówiąc: „Dla was dzieci na gwiazdkę!“

„Jakto, aurykle te do nas należyć miały! Nasza to własność! O radości! Do jedzenia niktby nas napędzić już nie zdołał, lecz też nikt i nie napędzał. Babka nasza wróciła z kościoła, przyszło paru przyjaciół domu i wszyscy bawili się naszą radością. Z rąk do rąk podawałyśmy sobie śliczny wazonik, wąchałyśmy cukrowe kwiaty, szukałyśmy miejsca, na którem wedle naszego zdania, wyglądaćby mogły najświetniej. Koniecznie starałyśmy się o to, ażeby każdemu wchodzącemu do mieszkania aurykle nasze, od razu rzucały się w oczy, w tym celu ustawiłyśmy je na stole stojącym przed kanapą, z którego to miejsca sromotnie zdjąć je nam kazano. Dziwiłyśmy się bardzo gustowi starszych, którzy cukrowych kwiatów na najwidoczniejszem miejscu bawialnego pokoju nie tolerowali, ale posłuszne i nieco obrażone zaniosłyśmy je do swojej sypialni i postawiły na oknie tuż przed stołem, na którym odbywały się lekcje. Przepadając za czekoladą doświadczyłam wprawdzie parę razy żywej pokusy ugryzienia malutkiego choćby kawałeczka z ładnie wyrobionego brzegu wazonika, ale wnet myśl tę odrzuciłam daleko, jako zawstydzającą. Klemunia, prawie o trzy lata odemnie starsza, stawiając wazonik na oknie, rzekła:

— Jutro kiedy przy lekcji przyjdzie do tej obrzydliwej syntaksy, będę sobie patrzyła na te liljowe kwiatki!

W ciągu tego wesołego dnia usłyszałyśmy matkę naszą pytającą męża:

— Gdzie dostałeś taki ładny cukrowy wazonik?

Ojczym nasz odpowiedział:

— U Kautlera.

Od dawna już to nazwisko nie było nam obce. Wyczytałyśmy je już na papierowych woreczkach i pudełkach, w których krewni przynosili nam cukierki, widziałyśmy je także na szyldzie cukierni, znajdującej się pod balkonem starej, wysokiej kamienicy, pod balkonem bardzo zajmującym, bo podtrzymywanym przez dwie z kamienia



Eliza Orzeszkowa dzieckiem, na kolanach matki z miniaturą ojca w ręku.

wyrzeźbione syreny, t. j. pół kobiety i pół ryby, górną część ciała miały one pomalowane na różowo, a dolną na biało. Na zgiętych ich ramionach wspierał się balkon, a pod balkonem jaśniała wystawa z żywych i cukrowych kwiatów, z ciast i cukierków. O tem miejscu roiłyśmy dziwne dziwy, wyobrażałyśmy sobie, że jest pełne wazonów z kwiatami z cukru i fontan karmelowych jakie widywałyśmy na wielkanocnych tortach. Pójść pod ów balkon przypatrzyć się tym syrenom i choć raz wejść do cukierni Kautlera stało się na pewien czas naszem marzeniem.

Raz w czasie przejażdżki zrobiłyśmy nieśmiałą propozycję, czy nie możnaby spełnić tych naszych chęci, ale towarzysząca nam starsza osoba odpowiedziała przecząco, dodając, że kobietom nie wypada wchodzić do cukierni. Dwie małe kobietki uwożone szybko od syren i Kautlera zasmuciły się tem trochę i potem wiedząc już dobrze, czego trzymać się mają, nie kobiet, ale mężczyzn bliżej znajomych zapytywały nieraz.

— Czy pan był kiedy u Kautlera?

Zresztą wszystko niedługo trwało. Przybyły nowe zabawki i nowe dla wyobraźni dziecięcych przedmioty zajęcia. Ale kiedy Klemunię zmęczyła gramatyka a mnie konjugacje niemieckie — dwa przedmioty jednostajnie nas dławiące, podnosiłyśmy oczy na nasze liljowe kwiaty, i uśmiech prostował skurczone przez nudę linje naszych ust“.

. . . .

Skończyły się dobre wesołe chwile. Ukochana siostrzyczka Klemunia ciężko zachorowała. Musiała leżeć w łóżku. Wesoła, żywa Ziunia, stała się jej nieodstępną towarzyszką. Po odbytych lekcjach, nie biegła w pole, nie pracowała w ogrodzie, lecz siadała przy łóżku chorej starając się uprzyjemnić jej czas głośnem czytaniem lub opowiadaniem historji, które sama układała. Panna Kobylińska słuchając takiej jednej opowieści, powiedziała raz: „Ziunia z pewnością zostanie kiedyś autorką".

W czasie choroby Klemuni, odjechała ta ukochana nauczycielka. Obie dziewczynki, serdecznie tem zmartwiły się. Ziunia zalewała się łzami, uspokoiła ją dopiero siostra pomysłem, że gdy obie dorosną i będą miały własny dom, to wtedy zaproszą ukochaną pannę Michalinę do siebie, urządzą dla niej śliczny pokój i otoczą największą wygodą. Rozmawiały odtąd o tej przyszłości często, układając plany wspólnego życia ze swą nauczycielką. Wdzięczne, piękne i dobre serca miały obie dziewczynki.

Po dwuletniej ciężkiej chorobie umarła Klemunia Ziunia, tak odczuła stratę siostry, że w dzień jej pogrzebu rozchorowała się sama ciężko. Choroba ustąpiła, ale dziewczynka tak była wciąż smutna i przybita śmiercią siostry, że matka chcąc ratować jedynaczkę, oddała ją na pensję panien Sakramentek, do Warszawy. Przebyła tam pięć lat.

Uczyła się łatwo i pilnie, a ulubioną jej nauką, był język polski. Historja i literatura ojczysta zajmowały ją nadewszystko. Najserdeczniej też wspominała zawsze profesora Kowalewskiego, który te przedmioty wykładał.

Na pensji pisywała zawzięcie wiersze, drukowane one nigdy nie były, bo matka nie zachęcała do tego dziewczynki i nie wbijała ją dumę. Później zaś już jako wykształcona kobieta i wielka pisarka, Eliza Orzeszkowa, żartowała z tych swoich prób pisarskich. Za to odrabiała nieraz zadania klasowe polskie i francuskie dla całej klasy, a że pismo miała szkaradne, więc wdzięczne koleżanki, przepisywały kaligraficznie jej wypracowania.

Ale w końcu p. Kowalewski poznał się na sztuczkach i zaczął jedno po drugiem wypracowanie uczenic odrzucać wołając: „To pisała panna Pawłowska". I tak trzeba

było zaprzestać wyręczania koleżanek w pisaniu zadań a samej zabrać się do kaligrafji.

Po pięcioletnim pobycie na pensji, wróciła Eliza do rodzinnego domu, a w rok potem nie mając jeszcze skończonych szesnastu lat, została żoną sąsiada Miłkowszczyzny, pana Orzeszki.—Minęło dzieciństwo i lata swobodnej młodości, rozpoczęło się nowe życie.

BONIFACY WRZOS.

Boża Krówka i Bąk.

(BAJKA).

(Dokończenie).

Rozejrzała się wokoło i spostrzegła niedaleko, oderwany listek na którym srebrzyła się kropla rosy, z wielkim trudem przyciągnęła go i napoiła biedaka.

Bąk był bardzo poturbowany, jedną nóżkę miał złamaną, drugą zwichniętą, skrzydełka pogniecione, a jedno oko tak zapuchnięte że go wcale otworzyć nie mógł.

— Ja, tu sama nie poradzę, rzekła.

— Ach! nie opuszczaj mnie, błagał bąk, ty najlepsza, najlitościwsza! Całe życie wdzięcznym będę! Czem będę mógł to ci się odsłużę. Bronić cię będę od nieprzyjaciół, będę twoim opiekunem—ale nie odchodź.

— Bądź spokojny, zaraz wrócę, tylko się nie ruszaj, siedź cicho i niech cię nikt nie widzi. — Przykryła bąka listkiem i frunęła po Pogotowie ratunkowe do którego należały wszystkie boże krówki. Wiadomo bowiem wszystkim, iż biedronki, czyli boże krówki, ratują róże i inne kwiaty od szkaradnych mszyc. Pośpieszyły litościwe owa-

dy zabierając ze sobą różne maście i leki, zbrakło im tylko bandażów do złamanej nóżki, bo właśnie wczoraj była wielka wojna między dwuma mrowiskami i tylu było rannych, że wszystkie środki opatrunkowe zostały zużyte.

„Jedne pająki mogłyby nam pomóc gdyby nam dały trochę pajęczyny, ale nie śmiemy już o nią prosić — radziły biedronki. — Jeśli trafimy na zły humor, to nas odprawią z niczem. Co tu robić“?

Na to nasza boża krówka, tak przez bąka wyśmiana za brak energji, wystąpiła śmiało. — Mam ja przyjaciela pająka, któremu kiedyś oddałam małą przysługę. Jest to stary dziwak, mantyka, tetryk siedzi tu niedaleko w piwnicy w najciemniejszym kącie, zapasów u niego obfitość i przędziwo najprzedniejsze. Może co od niego wydębię— i pofrunęła prosto do piwnicy dokąd się dostała przez dziurkę od klucza.

Siedział pająk, snuł szarą przędzę i czarne myśli, zerknął z podełba na bożą krówkę i czekał, a biedronka niby nic, pięknie się pokłoniła otwierając i zamykając skrzydełka, jak na dobrze wychowany owad przystalo i znając słabość pająków do muzyki ślicznym cieniutkim głosikiem zaśpiewała:

Pająku, pająku, mądry tkaczu nasz
Cieniutką niteczkę bożej krówce dasz,
Nie będzie odmowy ze strony pająka,
Dostanę twej przędzy dla biednego bąka.

Żachnął się pająk — dla kogo? dla kogo? dla tego farmazona, pasibrzucha, plotkarza? dla tego pyszałka? Nigdy, nigdy, nic ci nie dam.

Taka była jasna, treściwa i dobitna odpowiedź, ale nasza biedronka niezbita z tropu śpiewała dalej

„O mądry pająku co tak pięknie tkasz!
Co po twej mądrości, gdy serca nie masz,
Jeżeli niteczki nie otrzymam w darze
Już ja ci się w życiu więcej nie ukażę“.

I odwróciła się w stronę drzwi, które właśnie w tej chwili otworzono szeroko. Smutno się zrobiło pająkowi gdy pomyślał, że już więcej nie ujrzy ślicznej biedronki, więc zawołał.

— Ach nie bądź że taka obraźliwa i zawróć z drogi. Dużo ci tam tej nitki potrzeba?

— Ile pan pająk raczy dać.

— No to masz—odburknął, podając całe pasemko.

A gdy mu boża krówka z wielkiej uciechy podawała dwie łapki i różkami prawie się do nóg chyliła, odprawił ją temi słowy:

— Nie dziękuj, lecz pamiętaj naukę starego pająka:

„Nie zaznasz ty wdzięczności od podłego bąka“.

— Nie chodzi mi o żadną wdzięczność, chodzi mi tylko o ratunek dla biednego rannego—odparła i uszczęśliwiona, wyfrunęła pośpiesznie.

Koło bąka uwijały się biedronki, istne siostry miłosierdzia, nóżkę miał nastawioną, skrzydełka wyprostowane, nawet oko było mniej spuchnięte. Ale za to humor straszny. Łajał, wymyślał, wszystko mu było złe. Zadyszaną i tak bardzo śpieszącą bożą krówkę przywitał zjadliwem.

— Nareszcie! Gdzieżeś siedziała tyle czasu? Mnie tu twoje siostry na śmierć zamęczyły! Jakież one niezgrabne. Trzeba mojej wielkiej cierpliwości, żeby z wami wytrzymać. Com wycierpiał, tylko dzięki memu bohaterstwu wytrzymałem katusze, które mi zadawały swoją niezdarnością. Idjotki! tfu! Aj! Aj! dość tych męczarni—wrzasnął. Właśnie biedronki kończyły bandażować złamaną nogę. Widząc to bąk zaczął jęczeć, wyrzekać, nareszcie się rozpłakał.

— Co ja cierpię, co ja cierpię! — i tak się rozbeczał, rozszlochał, że biedronki już się dawno rozleciały, a on jeszcze krzyczał w niebogłosy z wielkiego bólu.

— Już wszystko skończone — oznajmiła mu boża krówka, która jeszcze przy nim pozostała.

— Doprawdy! No to adje Fruziu! A że miał skrzydełka wyprostowane rozwinął je szybko, pofrunął i... tyle go widziała.

Dopiero w parę tygodni później, któregoś pięknego poranku, boża krówka ujrzała naszego bąka i z wielkiem przerażeniem spostrzegła, że mu brakuje jednej łapki.

— Bąku! zawołała, co się stało? Straciłeś nóżkę!

— Tak, odparł, z waszej winy jestem kaleką.

— Jakże się to stać mogło. Tyleśmy złamanych nóżek składały i nigdy, nigdy nie przytrafiło się nam nic podobnego.

— Nie wiem, odburknął, jak tam bywało z innemi owadami. Co do mnie, o mało życiem nie przypłaciłem waszych zabiegów. Gdyby nie mój przyjaciel truteń:



— Ależ bąku! jak mogłeś?...

— Otóż to właśnie, jesteście zarozumiałe, jesteście pyszne z waszych dyplomów pisanych na płatkach nieśmiertelników. Obrzydliwe kwieciska, dodał z kwaśną miną, suche to, bez żadnej słodkości... Nie uznajecie zasług takiego trutnia, co wszystko wie, wszystko umie, choć się niczego nie uczył. Zaraz przyleciał do mnie, jako wierny przyjaciel, gdy ujrzał moją ś. p. nogę, o mało nie zemdlał widząc wasz opatrunek, z miejsca odrzucił wszystkie bandaże, łubki, przyniósł swoje nadzwyczajne drjakwie i życie mi ocalił, ba, jak sam twierdził, gdyby nie on, byłbym z pewnością skonał w bardzo krótkim czasie. Wynagrodziłem go sowicie i dotąd o nim pamiętam, a teraz śpieszę się bardzo bom zaprosił całą jego rodzinę na obiad i muszę kupić dobrego węgrzyna żeby pić zdrowie trutniów. Co zaś do straconej nogi, przebaczam wam wspaniałomyślnie. Zawsze byłem, jestem i będę szlachetnym bąkiem".

Westchnęła boża krówka i przyszły jej na pamięć słowa mądrego pająka. Pomimo to ona i jej siostry w dalszym ciągu spełniają swe miłosierne obowiązki i za to miłują je wszystkie kwiatki i roślinki, a od bąków i trutniów zachowaj nas Boże.